

BEST  SELLERS

PAULA
MARSHALL

Złoty młodzienc



NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS



Sentine



BEST SELLERS



WYDAWNICTWO MIRA
PASJA CZYTANIA KAŻDEGO DNIA

Złoty młodzieniec

Tytuły 2007 roku:

kwiecień

Nora Roberts – *Książęcy ród*

Diana Palmer – *Dwa kroki w przyszłość*

Dallas Schulze – *Ślubny kontrakt*

Sharon Sala – *Światło w ciemności*

Heather Graham – *Nos kosa*

Mary Alice Monroe – *Klub Książki*

maj

Paula Marshall – *Sekretna misja*

Paula Marshall – *Złoty młodzieniec*

czerwiec

Erica Spindler – *Z ukrycia*

Carla Neggers – *Wodospad*

Mary Alice Monroe – *Raj na ziemi*

Heather Graham – *Nawiedzony dom*

Diana Palmer – *Po północy*

Nora Roberts – *Twórcy marzeń*

Informacje o serii Bestsellers

oraz sklep internetowy na stronie: www.bestsellery-mira.pl *

*** Nie płacisz za koszty wysyłki**

PAULA
MARSHALL

Złoty młodzienc

Przełożył:
Wojciech Usakiewicz

Tytuł oryginału:
Lord Hadleigh's Rebellion

Pierwsze wydanie:
Harlequin Mills&Boon Limited, 2001

Redaktor prowadzący:
Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta:
Zofia Firek

© 2001 by Paula Marshall

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2007

Powieść *Never Sleep with Strangers* ukazała się w roku 2002 pod tytułem *Tajemnice zamku Lochlyre*

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak graficzny BESTSELLERS jest zastrzeżony.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie:
COMPTXT[®], Warszawa

Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

ISBN 978-83-238-5135-6

PROLOG

Wiosna, 1817 rok

– Do diaska z tym wszystkim! – wykrzyknął na całą Bruton Street Russell Chancellor, lord Hadleigh, czym ściągnął na siebie spłoszone spojrzenia kilkorga przechodniów.

Im więcej myślał o czekającej go misji, tym podlej się czuł. Nie można powiedzieć, żeby ostatnio nie zastanawiał się nad ostatecznym zerwaniem długotrwałego związku z Caroline Fawcett, ale miał nadzieję rozluźnić więzy stopniowo, aby nie narażić jej na zbyt wielkie przeżycie, kiedy przyjdzie koniec.

Tymczasem z samego rana jego ojciec, hrabia Bretford, postawił mu tak stanowcze ultimatum, że nie było mowy o sprzeciwie. Chyba że Russell wolałby znaleźć się na ulicy bez pensa przy duszy i w ogóle bez niczego oprócz arystokratycznego tytułu.

Wrócił do domu z Coal Hole tuż przed świtem,

bardzo z siebie niezadowolony, bo nie dość, że za dużo wypił, to jeszcze, jak rzadko, za dużo stracił przy zielonym stoliku. Ledwie zdążył przyłożyć pękającą z bólu głowę do poduszki, a już potrząsał nim jego osobisty służący, Pickering.

– Czego chcesz, człowieku? – burknął Russell.

– Nie wiesz, że położyłem się godzinę temu?

– Wiem, milordzie, ale nie minęło jeszcze pięć minut, jak posłał po mnie pański ojciec, i powiedział, że ma pilną sprawę. Poleciał mi powtórzyć, że jest w gabinecie i nie życzy sobie długo czekać na milorda.

– Czyżby? – Russell przerzucił nogi przez ramę łoża, co wzbudziło gwałtowny protest jego obolałej głowy. – Czy wiesz, skąd ten pośpiech?

– Nie, milordzie, chociaż... – Służący się zawahał.

– Chociaż co, Pickering? Na miłość boską, czyżbyś przejął od mojego ojca zwyczaj niekończenia zdań?

– Nie, milordzie, ale dzisiaj pańskiemu ojcu świat wydawał się wyjątkowo źle urządzone.

Ponieważ zmienne nastroje i humory hrabiego Bretforda miały bardzo złą sławę, Russell tylko cicho jęknął i pozwolił pomóc sobie w ubieraniu. Opuszczając pokój, zerknął na swoje odbicie w wysokim lustrze stojącym naprzeciwko łoża i uznał, że wygląda jak upiór. Raczej nie nadawał się w obecnym stanie do wysłuchiwania ojcowskiej reprimendy.

Skończyłem już trzydzieści lat, a on wciąż traktuje mnie jak kilkunastoletniego niedorostka, pomyślał jeszcze rozżalony, a potem lokaj otworzył przed

nim podwójne drzwi gabinetu, po którym nerwowo przechadzał się hrabia Bretford. Nic dziwnego, że dywan w pokoju nosił wyraźne ślady zużycia.

– No, jesteś, Hadleigh. Na Boga, jeśli nadal będziesz tak hulał, wkrótce odbije się to na twarzy...
– Urwał, lecz po chwili dodał: – Nigdy nie przestaje mnie dziwić, jak bardzo różnisz się od swojego brata Richarda...

Przygnębiające poczucie bycia synem drugiej kategorii, który przysparza rodzicielowi jedynie zawodów i rozczarowań, było u Russella tak silne, że nie potrafił zamilczeć.

– Nie jest ze mną jeszcze tak źle, żebym zapomniał imię brata, ojcze. Prawdę mówiąc, trochę mnie dziwi, że zostałem wezwany o zupełnie nieludzkiej porze, aby dowiedzieć się czegoś, o czym dawno wiem.

Słyszając tę zuchwałą przemowę, ojciec, dotąd czerwony ze złości, spurpurowiał.

– Cieszy cię, że stajesz okoniem, ale ja mam tego dość. Tak bardzo straciłeś zainteresowanie dla wszystkiego oprócz rozrywek i przyjemności, że aż boję się pomyśleć, co może stać się z majątkiem, kiedy odejdę z tego świata, a ty po mnie odziedziczysz. Wprawdzie nie ma takiej konieczności, żeby nasz majątek przejął mężczyzna, ale w zwyczaju Chancellorów jest przekazywanie włości najstarszemu synowi. Zaczynam się wahać. Nie, nawet więcej... – Znowu urwał.

– To znaczy? Nie mogę doczekać się końca zdania, ojcze.

Znacznie później, kiedy przypomniał sobie tę

niestosowną ripostę, Russell się zawstydził. Jednak w decydującym momencie jego niezadowolenie z siebie osiągnęło takie rozmiary, że przeniosło się na wszystko i wszystkich.

– Posłuchaj dobrze, Hadleigh, bo to jest ultimatum. Masz się ożenić i ustatkować. Przede wszystkim przestaniesz się spotykać z tą kobietą, którą utrzymujesz, i niezwłocznie jej o tym powiesz. Jeszcze dzisiejszego przedpołudnia, jeśli to możliwe. Chcę, żebyś poślubił przyzwoitą młodą pannę, podobną do żony twojego brata, Pandory. On dokonał znakomitego wyboru, w przeciwieństwie do ciebie. Jeśli mi odmówisz, to niezwłocznie porozumiem się z adwokatami i zmienię zapisy w taki sposób, żeby to Richard odziedziczył wszystko oprócz tytułu. Dopilnuję również, żebyś z chwilą mojej śmierci przestał otrzymywać pensję. W takim wypadku martw się o siebie sam. Nie zamierzam jednak odebrać ci wszelkich szans, Hadleigh. Masz trzy miesiące na poślubienie panny, która podniesie prestiż naszego nazwiska i da Chancellorom następnych męskich potomków. Ustatkuj się i zadbaj o nasze dobre imię, bo inaczej cię wydziedziczę.

– Czy Ritchie o tym słyszał, ojczy? – spytał Russell, któremu nagle zaschło w gardle. – Przecież on już się postarał o męskiego potomka.

– Nie słyszał. Nie uważałem za właściwe, by dowiedział się o tym, zanim stracisz szansę poprawy. Co zaś do jego męskiego potomka... Obaj doskonale wiemy, jaka jest śmiertelność małych chłopców, więc każdy rozsądny człowiek chce mieć jak najwięcej wnuków.

Richard, młodszy od Russella o parę minut, powiedział mu kiedyś, że nieustannie żyje w jego cieniu. Russell uważał jednak, że w rzeczywistości jest odwrotnie. To on żył w cieniu Ritchiego, który był ulubieńcem ojca, dzielnym żołnierzem, poważnym i odpowiedzialnym człowiekiem. Ritchiego, który już spłodził syna.

– Żałuję, że nie jestem młodszym synem. Nie musiałbym spełniać żadnych oczekiwań – wyrwało mu się mimo woli.

– Właśnie to mi się nie podoba, Hadleigh... Od samego początku jesteś lekkoduchem. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia poza tym, że oczekuję od ciebie wypełnienia mojej woli. W przeciwnym razie poniesiesz tego konsekwencje. Aha, prowadzę ostatnio korespondencję z moim przyjacielem, generałem Markhamem, który ma córkę. Spodziewamy się doprowadzić do waszego małżeństwa. W przyszłym tygodniu odbędzie się przyjęcie w Markham Hall, chciałbym więc, żebyś tam pojechał i poznał córkę generała. Rozumiesz, jak sądzę, że to pilna sprawa. Nie zamierzam dłużej tolerować nieodpowiedzialnego trybu życia. Teraz możesz odejść. Nie życzę sobie wysłuchiwać twoich zapewnień. Liczą się tylko czyny.

Hrabia Bretford usiadł i zaczął pisać. Podniósł głowę jeszcze tylko na chwilę, by dodać:

– Wiesz, gdzie są drzwi, Hadleigh. Zechciej zrobić z nich użytek. Nie chcę cię widzieć, zanim nie wypełnisz wszystkiego, o co cię poprosiłem.

I oto kilka godzin później Russell był w drodze do mieszkania Caroline, by powiedzieć jej „żegnaj”,

choć nie tak jak sobie wcześniej wyobraził, z własnej woli, lecz za sprawą ojca. Pomyślał, że gdyby miał choć uncję odwagi, wysłałby hrabiego do diabła i zajął się gromadzeniem własnego majątku. Tylko jak? Niczego go nie nauczono. Chciał zostać żołnierzem, ale nie dostał na to pozwolenia. Ponieważ był dziedzicem, żołnierska kariera stała się udziałem Ritchiego. Poprosił więc ojca o zgodę na zajęcie się rodzinnym majątkiem w Eddington, w Northumbrii, dowiedział się jednak, że to zajęcie należy do ich kuzyna, Arthura Shaw. Co gorsza, ojciec powiedział mu, że nie zamierza pozbawiać Arthura pracy, by dać ją niewykształconemu, podstarzałemu uczniakowi.

W tym miejscu Russell przerwał posępne rozmyślenia. Wolał nie przypominać sobie kłopotów, które spowodowała przed trzynastu laty kolejna brutalna interwencja ojca w jego życie. Naturalnie winę ponosił nie tylko ojciec, ale gdyby okazał mu więcej życzliwości... Kto wie, może wszystko ułożyłoby się inaczej?

Nie, o tym nie należało myśleć... Co się stało, to się nie odstanie. A on tymczasem stanął pod domem Caroline znacznie szybciej, niżby tego sobie życzył. Przykra prawda była taka, że wcale nie chciał jej obwieścić końca ich znajomości, dlatego nieustannie odkładał decydującą rozmowę. Teraz jednak ojciec nie pozostawił mu wyjścia.

Ku swemu zdziwieniu na ulicy przed domem zobaczył wynajęty powóz. Służący Caroline ładował bagaże. Russell energicznie wbiegł na schodki, wymachując kluczem, i po chwili był już w środku.

Sam się zdziwił, gdy usłyszał, z jaką niecierpliwością woła panią domu. A jego zdziwienie jeszcze wzrosło, kiedy drzwi pokoju się otworzyły i na korytarz wyszła Caroline, uroczą jak zawsze, lecz ubraną do wyjścia i trzymającą w ręce okazały skórzany sakwojaż.

– To ty?! – zachnęła się. – Myślałam, że już o mnie całkiem zapomniałeś. Czy masz pojęcie, kiedy ostatnio tutaj byłeś?

Co za fatalny dzień. Russell znowu poczuł się jak zbity pies. Naturalnie był zdecydowany zrekompen-sować Caroline przykrość okazałą sumą, fakt jednak pozostawał faktem.

– Ostatnio jakoś... nie wiem... – wybąkał. Dawno, dawno temu jąkał się jako chłopiec, póki guwerner nie oduczyl go tego za pomocą trzciny. Teraz słabość zdawała się wracać.

– Otóż to. – Przesłała mu chłodny uśmiech. – Dlatego postanowiłam cię odciążyć i zwolnić z obowiązku składania mi wizyt. Zmęczyła mnie twoja niestałość, więc odchodzę. Właśnie miałam wysłać do ciebie list z wiadomością, że wyjeżdżam. Tak się jednak dobrze składa, że nie będzie to konieczne, skoro cię widzę.

– Chcesz odejść? – wyrwało mu się mimo woli.

– Tak. Od dłuższego czasu dochodzą mnie słuchy, że jesteś mną zmęczony, ale nie wiesz, jak mi to powiedzieć. Zgodziłam się na ten romans z bardzo głupiego powodu: zakochałam się w tobie po uszy. Naturalnie wiedziałam, że nigdy mnie nie poślubisz, ale twierdziłeś, że w ogóle nie masz zamiaru się żenić. Nierozważnie uwierzyłam, że możemy

wspólnie bawić się w dom, póki nie posiwiejemy. Wciąż cię kocham, ale nie chcę być dla ciebie kamieniem u szyi. Ostatnio poznałam przyzwoitego kupca, który postanowił mi pomóc w powrocie na prostą drogę. W przyszłym tygodniu bierzemy ślub. Nie chcę od ciebie żadnych pożegnalnych prezentów. Życzę ci tylko jednego: żebyś nigdy nie musiał cierpieć tak jak ja z powodu beznadziejnej miłości. Żegnaj, Hadleigh. Zatrzymajmy w pamięci wszystkie nasze szczęśliwe chwile i myślmymy o sobie dobrze. Muszę już iść. Czeka na mnie powóz i nowe życie.

– Nie – powiedział. – Nie tak.

– Czy to znaczy, że sam wolałbyś ze mną zerwać, a nie dowiedzieć się, że odchodzę?

– Nie – powiedział ponownie Russell, ale oczywiście Caroline miała rację.

Pogłaskała go po policzku dłonią obciążoną rękawiczką.

– Wspomnij mnie czasami, to wszystko, o co proszę.

I już jej nie było. Na zawsze znikła z jego życia.

Decyzja została podjęta za niego, ale Russell wcale nie czuł się z tym lepiej. Wręcz przeciwnie, zwłaszcza że już drugi raz opuściła go kobieta. Ostatnie rozmowy z ojcem i kochanką aż nadto dobitnie uzmysłowiły mu wszystkie jego niedoskonałości. W każdym razie, aby znów wkupić się w łaski ojca, musiał jechać do Markham Hall i uderzyć w konkury do kobiety, której wcale nie chciał poślubić. Kobieta, to chyba zresztą było zbyt szumne słowo. O ile dobrze pamiętał, Angelica Markham miała zaledwie osiemnaście lat.

Po powrocie do domu nie zastał ojca, nie mógł więc go powiadomić, że ostatecznie zakończył długotrwały romans z Caroline Fawcett. Z prawdziwą goryczą pomyślał, że jak zwykle nie wie, co robić dalej. Po chwili uznał, że o hrabiego należy zapytać jego sekretarza, pana Gravesa, i powlókł się do gabinetu. Sekretarza również nie było. Miał już wyjść z pokoju, gdy coś go podkusiło, żeby podejść do wysokiego biurka pana Gravesa, które stało przy oknie. Zaczął przekładać leżące na nim papiery.

Niewielka kupka zawierała rachunki i dokumenty dotyczące posiadłości w Eddington. Bez wyraźnego celu wziął się do przeglądania rachunków.

Jeszcze podczas studiów w Oksfordzie odkrył u siebie talent do matematyki. Kolegów ten przedmiot nudził, znacznie więcej czasu spędzali na rozrywkach lub na przygotowaniach do politycznej kariery i studiowaniu klasyków, on tymczasem zgłębiał tajemnice liczb, które zawsze go fascynowały. Pamiętał, jak doktor Beauregard mówił...

Nie, lepiej było o tym zapomnieć, podobnie jak o wszystkim, co wiązało się z doktorem Beauregardem, a zwłaszcza z jego córką.

Niestety, nie mógł jednak zapomnieć o tym, co widział przed sobą, gdy szybko sumował kolumny cyfr. Doszedł bowiem do wniosku, że w rachunkach coś się nie zgadza. Powtórzył dodawanie i otrzymał taki sam wynik, cofnął się więc do poprzedniego dokumentu. Właśnie skończył sprawdzanie, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Graves.

– Czy milord szuka mnie, czy hrabiego?

– Hrabiego, ale przy okazji chciałbym cię zapytać o te rachunki.

– Nie rozumiem, co milord mógłby w nich znaleźć.

– O ile się nie mylę, Graves, są w nich pewne nieścisłości, które, jeśli można, chciałbym z tobą omówić.

Graves, który wiedział, że hrabia nie ceni swojego dziedzica i nie darzy go szacunkiem, zawsze demonstrował Russellowi, że podziela zdanie chlebobdawcy. Pokręcił więc głową i odpowiedział lekko kpiącym tonem:

– Ja też sprawdzałem te rachunki i nie znalazłem w nich niczego nieprawidłowego. Obawiam się, że milord jest w błędzie.

– A ja obawiam się, że nie – odparł Russell tonem, jakiego Graves jeszcze u niego nie słyszał.
– Zechciej więc wyświadczyć mi tę przysługę i...

Graves popełnił niewybaczalny błąd. Nie tylko przerwał swojemu panu, lecz również zignorował jego życzenie.

– Jestem zajęтым człowiekiem, milordzie. Sprawdziłem wszystkie rachunki i sprawozdania z wielką starannością i nie znalazłem żadnych błędów. Jeśli wolno mi coś zasugerować, proszę poruszyć ten temat w rozmowie z ojcem, który, zapewniam milorda, traktuje z pełnym zaufaniem moje umiejętności i rzetelność. Zawsze osobiście sprawdza wykonaną przeze mnie pracę, również tę związaną z korespondencją od pana Arthura Shawa z Eddington, i jak do tej pory jest ze mnie zadowolony.

Przez chwilę Russell rozważał, czy nie chwycić

tego bydlaka za fular i nie zagrozić mu uduszeniem, jeśli nadal nie będzie chciał rozmawiać o rachunkach. Powstrzymała go jedynie myśl, że ojciec z pewnością weźmie stronę Gravesa. Postanowił więc mimo wszystko porozmawiać z ojcem, chociaż wiedział, że otrzyma identyczną odpowiedź jak od sekretarza. Hrabia nie będzie chciał słuchać tego, co jego syn ma do powiedzenia.

To przewidywanie okazało się słuszne.

Podczas kolacji ojciec zwracał uwagę niezwykle jowialnością, gdy więc kończyli porto, Russell postanowił podjąć drażliwy temat.

– Chcę powiedzieć, ojcze, że przypadkiem obejrzałem rachunki z majątku w Eddington i wydaje mi się, że są w nich niejasności. Może zechciałbyś łaskawie pozwolić mi...

Urwał. Twarz ojca zdążyła już spurpurowieć od gniewu. Pamiętał dobrze takie sytuacje z chłopięcych lat i, niestety, okazało się, że nadal jest wobec nich dziecięco bezradny.

– Nie przesadzaj, Hadleigh. Cóż takiego pilnego możesz mi mieć do powiedzenia, że uznałeś za stosowne zakłócić spokój raczenia się winem? No, czemu się zawahałeś? Mów dalej, proszę.

– Zastanawiałem się, ojcze, czy nie pozwolilibyś mi jechać do Eddington i sprawdzić na miejscu, czy wszystko jest w porządku. O ile sobie przypominam, nikt z rodziny nigdy tam nie był, ponieważ wszyscy wolą posiadłość w Norfolk. Może przyszedł czas, żeby ktoś z nas zainteresował się tym miejscem. Ty masz na głowie sprawę wagi

rządowej, Ritchie reformuje majątek, który odziedziczył, zostaje więc ja.

– Słusznie, Hadleigh, nie mogę tylko pojąć, w jaki sposób wyobraziłeś sobie, że jesteś odpowiednią osobą, aby jechać do Eddington i zawracać głowę mojemu rządcy, tym bardziej że jest to dobry rządca.

– Ale ja jestem twoim dziedzicem. Noszę nazwisko Hadleigh pochodzące od wsi położonej nie dalej niż dziesięć mil od Eddington, a w dodatku po obejrzeniu sprawozdań Arthura Shawa mam podstawy sądzić, że warto byłoby odwiedzić rodowe włości.

Z miny ojca Russell wyczytał, że nie ma sensu nalegać.

– Ogranicz swoje zajęcia do kwestii, o których możesz cokolwiek wiedzieć – odrzekł opryskliwie ojciec. – Arthur Shaw jest, w odróżnieniu od ciebie, porządnym, ciężko pracującym człowiekiem i nie pozwolę, żebyś niepokoił go mieszaniem się do spraw, które cię nie dotyczą, a co więcej, o których nie masz pojęcia. To jest moje ostatnie słowo, synu.

Russella kusilo, by się uprzeć, ale ponieważ przerwano mu oględziny rachunków, nie zdążył zgromadzić dostatecznych dowodów, by teraz przekonać ojca o swoich racjach. Zdawał też sobie sprawę z tego, że nawet gdyby miał dowody, ojciec i tak odniósłby się do nich z lekceważeniem. Dalsze obstawanie przy swoim mogło doprowadzić tylko do powiedzenia czegoś niewybaczalnego, a jaka byłaby z tego korzyść, skoro spotkał się z nieugiętą odmową?

Na szczęście wkrótce i tak czekał go wyjazd

z domu, chociaż prawdę mówiąc, Markham Hall nie było miejscem, o którym myślał z entuzjazmem. Przynajmniej jednak podczas tej wizyty miał szansę zapomnieć na krótki czas, że jest synem nie tylko niekochanym, lecz również głęboko lekceważonym.

Mary Wardour przesunęła pionka na szachownicy, po czym zaczęła pokrywać następną karteczkę liczbami i tajemniczymi symbolami. Była w połowie tego zadania, gdy rozległo się miarowe pukanie do drzwi.

Westchnęła. Nie mógł to być naturalnie nikt inny oprócz Gibbsa, ich kamerdynera. Czego on znowu chce? Czy nigdy nie da jej spokojnie spędzić popołudnia?

– Proszę – zawołała i odłożyła pióro.

Zgodnie z oczekiwaniami wszedł Gibbs, wydawał się jednak bardziej oficjalny niż zwykle.

– Dama z wizytą do pani... – zaczął, ale nie zdołał powiedzieć niczego więcej, ponieważ wspomniana dama przepchnęła się obok niego.

– Bez ceregieli – oznajmiła piskliwie. – Sama się zaanonsuję. Możesz nas zostawić.

Mary omal nie jęknęła. Ze wszystkich ludzi, którzy mogli jej przeszkodzić w chwili, gdy nabrała przekonania, że uda jej się rozwiązać problem ruchu skoczka, ta kobieta była najmniej pożądana.

– Lady Leominster – powiedziała, uniósłszy się z miejsca – proszę usiąść. Jak rozumiem, cieszy się pani takim rozgłosem, że anonsowanie jej jest zbędne.

Lady Leominster postanowiła potraktować te słowa jako komplement.

– Och, jestem pewna, że z przyjemnością ode-rwiesz się od tych swoich łamigłówek – oznajmiła.
– Prawdę mówiąc, zaskakuje mnie nieco, że wiedz-niesz w domu w taki piękny, słoneczny dzień. Ale mniejsza o to. Przyszłam cię skarcić, niedobra dziewczyno. Bądź co bądź, korzystam z przywile-jów chrzestnej matki. Ostatnio tak rzadko pokazu-jesz się w towarzystwie, że grozi ci zdziwaczenie. Staniesz się damskim odludkiem. To nie ma sensu, dlatego namówiłam kuzyna Markhama, żeby za-prosił cię na wielkie przyjęcie w przyszłym tygo-dniu.

Mary miała tak buntowniczą minę, że lady Leo-minster natychmiast uniosła dłoń.

– Nie, nie odmawiaj mi. Najwyższy czas, żebyś ponownie wyszła za mąż.

Przekrzywiła głowę i zaczęła przyglądać się twarzy Mary tak, jakby kontemplowała obraz.

– Urocza – orzekła. – Doprawdy urocza. Każdy mężczyzna byłby dumny z żony mającej twoją cerę, takie ciemne oczy i jeszcze ciemniejsze włosy. No i naturalnie twój majątek. O tym też nie wolno nam zapomnieć.

Ile jeszcze społecznych tabu miała zamiar zła-mać ta stara klępa? Czy nie wystarczyło, że wpadła do pokoju bez słowa przeprosin, mimo że Gibbs na pewno powiadomił ją o nieobecności pani? – żyła się w duchu Mary.

– Taaak – zadumała się lady Leominster, a po-tem nagle zmieniła ton na władczy. – Musisz znowu

wyjsć za mąż, co do tego nie ma dwóch zdań. Trzydziestoletnia wdowa nie jest jeszcze taka stara.

– Niech Bóg broni! – zawołała Mary, choć zupełnie nie rozumiała, skąd jej się to wzięło. Przecież jej małżeństwo z doktorem Henrym Wardourem wcale nie było nieszczęśliwe, chociaż dzieliła ich znaczna różnica wieku, a ojciec i mąż uzgodnili zawczasu kwestię małżeństwa między sobą, ją natomiast postawili przed faktem dokonanym.

– Przyznaj, że to musiało być przykre! – wykrzyknęła jej dręczycielka. – Poślubić zgrzybiałego naukowca. Pewnie właśnie dlatego masz teraz poczucie, że musisz kontynuować jego pracę. – Lekceważącym gestem wskazała plik kartek i szachownicę. W ten sposób naruszyła kolejne tabu. Nie mówi się przecież o tak intymnych sprawach jak czyjeś małżeńskie życie.

Wyraźnie zapalona do swojej tezy lady Leominster nawet nie zauważyła, że potrafiła Mary podczas pisania. Z coraz większym wigorem perorowała:

– Stary dziwak naturalnie może myśleć o tak niepojętych sprawach jak matematyka. Ale przystojny młody mężczyzna na pewno szybko zająłby cię czym innym niż wyliczenia. Tym bardziej musisz więc przyjąć zaproszenie generała.

Jedyny powód do przyjęcia zaproszenia, jaki Mary widziała, wiązał się z nadzieją na szybkie oddalenie tej starej harpii. To umożliwiłoby jej powrót do szachowych rozważań niedawno zmarłego męża, które również dla niej były bardzo zajmujące.

– Ile czasu mam spędzić w Markham Hall? Ufam, że nie chodzi o długi pobyt. – Jeśli nawet odpowiedź ta zabrzmiała tak, jakby padła z ust kobiety niewiele młodszej od doktora Wardoura, to trudno. Na szczęście harpia wydawała się usatysfakcjonowana, jeśli sądzić po jej drapieżnym uśmiechu.

– Moja droga, zapewniam cię, że jestem w siódmym niebie. Osobiście powiadomię generała, że z przyjemnością odnowisz znajomość z nim i jego drogą Angelicą. Naturalnie pamiętasz drogą Angelicę, prawda?

Jeśli chodziło o panienkę, która dąsała się przez całe swoje debiutanckie przyjęcie, na które Mary niebacznie poszła wskutek bardzo natrętnych zachęt autorytatywnej matki chrestnej, to owszem, Mary dobrze pamiętała drogą Angelicę.

– Tak, tak, lady Leominster. Naturalnie, że ją pamiętam.

Kto zapomniałby takie wapory? Można było jedynie współczuć biedakowi, który miał zaprowadzić tę pannę do ołtarza. Na szczęście lady Leominster i tym razem potraktowała odpowiedź ze śmiertelną powagą, a Mary zostały wyrzuty sumienia, że brzydko myśli i mówi o innych, lecz jednocześnie odczuwała zadowolenie, że udało jej się ukryć prawdziwe uczucia.

Została nagrodzona głośnym pocałunkiem matki chrestnej, która wstała i oznajmiła uroczystym tonem, że idzie namówić, co oznaczało zmusić, swoją siostrzenicę, Phoebe Carstairs, aby i ona wybrała się do Markham Hall.

– Jeszcze jedna panna, która nie wie, co dla niej dobre – dorzuciła.

Gdyby naprawdę wiedziała, co jest dobre dla mnie, moja noga nie powstałaby w Markham Hall, pomyślała buntowniczo Mary, po czym wróciła do wcześniejszego zajęcia. Nie mogła się jednak skupić, bez przerwy rozmyślała bowiem o tym, jak zniesie całkowicie jałowy tydzień, który mogłaby poświęcić na zmuszenie tego przeklętego białego skoczka, by jej wreszcie posłuchał.

Czarny skoczek był znacznie potulniejszy.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Markham Hall był doprawdy piękną rezydencją. Zbudowano ją w początkach epoki Tudorów z ciemnokarmazynowych i złotawych cegieł oraz ociosanych kamieni. Wszystkie późniejsze zmiany, które miały zwiększyć wygodę właścicieli i ich gości, ominęły główną fasadę, chciano bowiem zachować wrażenie, że wciąż jest to szesnastowieczna twierdza, przebudowana potem na dwór arystokracji.

Podobno mieszkała tu nawet przez krótki czas dobra królowa Elżbieta w okresie, gdy na tronie zasiadała jej katolicka siostra Maria, aczkolwiek nie było na to żadnego dowodu oprócz portretu z epoki, przedstawiającego młodą Elżbietę, wiszącego na honorowym miejscu w wielkiej sali.

Tego popołudnia w końcu kwietnia do dworu przybywali liczni goście. Kilka powozów stało na żwirowym podjeździe przed głównym wejściem, kiedyś bramą, otwierającą się na czworokąt, na którego planie wzniesiono budowlę przed wiekami.

Armia lokajów, koniuszych, woźniców i wszelkiego rodzaju służących wносиła do sieni bagaże.

Dwaj lokaje, z których jeden trzymał wielki zielony parasol, wybiegli powitać woźnicę Mary Wardour i otworzyć drzwi powozu, aby pasażerka mogła wysiąść i pod stosowną opieką, wraz z osobistą służącą, Jennie, oraz damą do towarzystwa, panną Elizą Truman, schronić się we wnętrzu domu przed niewielkim deszczem.

Wewnątrz było pięknie i komfortowo. Z apartamentu Mary ciągnął się widok na pokryte zielenią pagórki. Na szczycie jednego z nich stała altana w kształcie ruin miniaturowej wieży. Nazywano ją Peter's Place na cześć legendarnego myśliwego, który dwa wieki wcześniej polował na lisy z łowcami Quorn, dumą hrabstwa Leicester.

Ledwie Mary zdążyła zmienić strój podróżny na jasnobezową suknię i usiąść wygodnie na sofie w saloniku, gdy pojawili się kamerdyner i lokaj z herbatą i przekąską.

– Lady Markham pomyślała, że chętnie wzmocni się pani po podróży z Oksfordu. Obiady jemy tutaj późno, w wielkiej sali. Pan generał nazywa ten posiłek kolacją. Na pierwszy dźwięk dzwonu rodzina i goście zbierają się w sali Stuartów na konwersację przed posiłkiem.

– Bardzo elegancko – mruknęła Mary, mierząc wzrokiem dzbanuszek z herbatą i ciasteczka znane pod nazwą Bosworth Jumbles.

Kamerdyner skłonił głowę.

– Pan generał z żoną wyrażają nadzieję, że miło pani spędzi czas podczas swojej pierwszej wizyty

w Markham Hall. Będą szczęśliwi, jeśli w przyszłości zechce tu pani wrócić. W razie gdyby miała pani jakieś życzenia, wystarczy zadzwonić na gospodynię, panią Marsden, która wszystkim się zajmie.

– Ojej – powiedziała panna Truman, kiedy kamerdyner i lokaj z głębokimi ukłonami opuścili pokój. – Mniej ceremonii było, kiedy moja zmarła opiekunka składała wizytę na dworze. W każdym razie herbaty napiję się z wielką chęcią.

Mary już zapomniała, jak wyglądają wizyty u ludzi pochodzących z najwyższych sfer. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy ma ochotę przebywać w świecie tak sztywnych manier nawet przez tydzień. Wzięła z sobą pracę, ale bardzo wątpiła, czy znajdzie czas na rozwiązanie choćby ostatniego problemu, który napotkała. Za to jej towarzyszka najwyraźniej czerpała wielką przyjemność z tak wielkiego zainteresowania ich przyjazdem i gdy wypily po filiżance herbaty, natychmiast zaproponowała, by zadzwonić na gospodynię i znowu poprosić o wrzątek.

Tymczasem na dworze przestało padać i zza chmur wyszło słońce.

– Proszę bardzo – powiedziała Mary – wolę jednak teraz iść na spacer po posiadłości. Jeśli życzysz sobie odpocząć po podróży, to nie musisz mi towarzyszyć.

– Weź przynajmniej służącą. Tak wypada.

Mary westchnęła. Najbardziej pragnęła świętego spokoju.

– Nie potrzeba – odparła łagodnie. – Jestem tu całkiem bezpieczna.

- Kto ci poniesie parasolkę?
- Sama mogę ją nieść. Do zobaczenia. Niedługo wrócę.

Z parasolką w ręce i w lekkiej narzutce okrywającej suknię Mary zeszła na dół i spytała nieco zaskoczonego lokaja, w jaki sposób najwygodniej wyjść do ogrodu. Zaprowadził ją do tylnych drzwi. Stamtąd jedna dróżka wiodła do stajni, druga zaś do ciągu francuskich ogrodów, za którymi zaczynał się park.

Ogrody musiały nabrać blasku w ostatnim stuleciu, najprawdopodobniej dzięki umiejętnościom Capability Brown. Mary odnotowała ten fakt z uznaniem i odważnie weszła do parku, gdzie jej zachwyty wzbudziły ozdobne mostki, starannie ukształtowane kępy drzew i stawek z miniaturową przystanią i dwiema przycumowanymi łódkami.

Musiała przyznać, że wszystko co widzi, bardzo jej się podoba, a zwłaszcza to, że jest jedyną osobą, która przysła podziwiać urozmaicone panoramy, z wielką starannością zaprojektowane przez Browna. Rozpościerający się przed nią widok zapierał dech w piersiach, aż pożałowała, że zostawiła w domu szkicownik i akwarele. Przez dłuższy czas siedziała w tym sielskim otoczeniu na ławeczce ustawionej tak, by zapewnić maksimum wrażeń, wreszcie jednak z westchnieniem wstała, by udać się w drogę powrotną.

Pomysł wybrania innej drogi przez ogrody wydawał jej się znakomity, póki nie usłyszała zza zielonej ściany męskich głosów, gdy zbliżyła się do pergoli obrosniętej pnączami. Już miała wycofać

się, by uniknąć niepożądanego spotkania, nagle jednak jej uwagę zwrócił głos, który brzmiał znajomo.

Nie! To nie może być on! Niemożliwe!

Mężczyzna znowu się odezwał, a potem parsknął śmiechem, w czym zawtórowali mu inni obecni, i tym razem Mary nabrała przekonania, że się nie myli. Koniecznie musiała jednak zdobyć pewność, by w razie czego przygotować się na późniejszą konfrontację przy obiedzie. Niespodziewane spotkanie mogłoby zburzyć jej opanowanie, z którego wszak słynęła wśród znajomych.

Stała przy pergoli, by dyskretnie zajrzeć do ogrodu. Nie zdradzając swojej obecności, mogła zobaczyć zgromadzone tam towarzystwo. Miała rację. Charakterystyczny baryton, który tak ją zaskoczył, należał do Russella Chancellora, lorda Hadleigh. Poznała go, mimo że minęło trzynaście lat, odkąd go słyszała.

Russell siedział w grupce młodych ludzi przy żelaznym stoliku, na którym stały nie filiżanki herbaty, lecz butelki porto, madery i białego wina. Rozchelstani – tak w najdelikatniejszy sposób można byłoby określić stan wszystkich tych mężczyzn, z Russellem włącznie. Właściwie z nim przede wszystkim, pomyślała z dezaprobatą Mary. Poznała również Peregrine'a Markhama, syna i dziedzica gospodarza, ale inni młodzi ludzie byli jej nieznani. Stała też zbyt daleko, by usłyszeć cokolwiek z rozmowy, przyszło jej jednak do głowy, że to może nawet lepiej. Sądząc po śmiechu tych ludzi, żarty raczej nie należały do stosownych.

Peregrine Markham nagle wstał, więc Mary raptownie się cofnęła. Nie miała ochoty rozmawiać z tymi ludźmi, a zwłaszcza z Russellem, potrzebowała bowiem czasu na odzyskanie spokoju. Ogarnął ją taki zamęt, że nawet nie bardzo wiedziała, w jaki sposób trafiła z powrotem do pokoju.

Miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy. Gdyby wiedziała, że i on przyjedzie w gościnę do Markham Hall, z pewnością nie uległaby natrętnym naleganiom lady Leominster i nie zgodziła na tę podróż. Przynajmniej jednak dopisało jej szczęście i zawczasu zorientowała się w sytuacji, mogła więc teraz przygotować się na nieuniknione spotkanie przed posiłkiem. Nie wolno jej było pokazać, jak bardzo rozstroił ją sam jego widok.

Naturalnie wiedziała, że jej zmieszanie jest śmieszne. Niemożliwe, żeby zdrada sprzed trzynastu lat mogła jeszcze sprawiać jej ból. Co gorsza, zupełnie nie rozumiała, dlaczego wystarczyło jedno spojrzenie na Russella, aby serce zabiło jej tak mocno, jakby rozstali się zaledwie wczoraj. I jakby to wczoraj miał miejsce ten cudowny, czuły, pożegnalny pocałunek.

Pocałunek Judasza, pomyślała później. Wylała przez Russella morze łez, ale z czasem wspomnienie o młodzieńcu i jego złamanej obietnicy stopniowo zaczęło blaknąć. Tym bardziej zdziwiła się swoją gwałtowną reakcją na jego obecność.

Staję się żałośnie sentymentalna, jeśli pozwalam, by wywierał na mnie takie wrażenie, pomyślała. Zaczęła nawet zastanawiać się, czy i on ją pozna. Ona go przecież poznała, chociaż się zmienił. Nie

był już przystojnym, szczupłym młodzieńcem, lecz dojrzałym mężczyzną z cynicznym uśmieszkiem. Z jego dawnego uroku niewiniątka nic nie zostało.

– Wielkie nieba, czy przypadkiem się nie przemęczyłaś? – spytała zaniepokojona Eliza Truman, gdy Mary ponownie pojawiła się w saloniku. – Masz wypieki na twarzy. Moim zdaniem nie należało forsować się spacerem po całodziennej podróży.

– Och, bez przesady. – Mary nie czuła się swobodnie z myślą, że jej ostatnie przeżycie pozostawiło dostatecznie wyraźny ślad, by panna Truman poczyniła na ten temat uwagę. – Po prostu nabrałam rumieńców. – To było jawne kłamstwo! – W każdym razie majątek robi duże wrażenie. Jest godzien prawdziwie mistrzowskiego pędzla.

– To prawda – przyznała panna Truman, która wzięła zmianę tematu za dobrą monetę. – Czytałam o jego wspaniałościach, a teraz sama dostąpiłam zaszczytu ich obejrzenia. Słyszałam również, że kuchmistrz pana generała cieszy się wielką sławą, z wielką niecierpliwością więc czekam na obiad czy też na kolację, jak mówi pan generał.

Też tak bym chciała, pomyślała Mary.

Także Russellowi było daleko do odczuwania wielkiej niecierpliwości. Jeszcze nie miał okazji ujrzeć tej pannicy, z którą ojciec postanowił go wyswatać, ale wkrótce powinno do tego dojść. Dość dawno już poznał jej brata Peregrine'a, zwanego przez znajomych Perrym i, prawdę mówiąc, nie darzył go szczególną sympatią. Wyobrazenie go

sobie w roli szwagra wydawało się Russellowi mało zachęcające.

Perry Markham był graczem, który nie umiał przegrywać. Tymczasem dla Russella, mimo jego ostatnich sesji przy zielonym stoliku, hazard mógłby nie istnieć. Tylko czasem pomagał pokonać znużenie pustą egzystencją. Russell nie rozumiał, jak człowiek może pozwolić, by hazard owładnął nim w takim stopniu, jak to się stało w przypadku Perry'ego Markhama. Ciekaw był zresztą, czy generał zdaje sobie sprawę z tego, jak wielkie sumy przegrywa jego syn i ile potem pije, żeby zapomnieć o poniesionej stracie.

Tego wieczoru Russell zrezygnował z alkoholu, wołał bowiem dla zabawy poobserwować innych, którzy zgrzeszyli brakiem umiarkowania. Akurat podczas przerwy w jałowych rozmowach prowadzonych przez jego młodych towarzyszy, którzy mieli stanowczo za dużo czasu i zbyt mało zajęć, by go wypełnić, zauważył kobietę stojącą u wejścia do ogrodu, w którym siedzieli. Nie miał okazji przyrzec się jej twarzy, ale wydawało mu się, że jest młoda... może zresztą tylko pozwolił unieść się nadziei.

Tak, miał nadzieję, że kobieta wejdzie do środka i nieco ożywi to popołudnie, które było wyjątkowo nudne mimo słonecznej pogody. Niestety, widok tyłu młodych głupców, do których zresztą Russell zaliczał również siebie, najprawdopodobniej spłoszył nieznajomą, oddaliła się bowiem i nie dała im okazji do nacieszenia się swoją obecnością.

Teraz służący ubierał go na wieczór i jak zwykle

wykazywał się niezwykle starannością. Dziwne musiało być życie człowieka, który tyle uwagi przywiązywał do kwestii stroju i podobnych błahostek. Ostatnio Russell spytał ojca, czy w następnych wyborach do parlamentu będzie mu wolno zająć jedno z miejsc będących w gestii rodziny. Chodziło mu o mandat z okręgu, któremu zawdzięczał tytuł. Jako deputowany miałby wreszcie coś ciekawego do zrobienia, a poza tym zdobyłby nieco doświadczenia, które by mu się przydało, gdy już odziedziczy rodzinny majątek.

– Nie jesteś do tego przygotowany, synu, i brakuje ci stateczności – odburknął ojciec.

– Jestem starszy niż lord Granville, kiedy pierwszy raz zasiadał w parlamencie, i wcale nie mniej stateczny – odparł Russell.

– Nie jesteś lordem Granville – zauważył hrabia.

Na to stwierdzenie trudno było znaleźć argument.

– Ale on został deputowanym zaraz po ukończeniu dwudziestu lat, a ja mam już ponad trzydzieści. On w tym wieku był ambasadorem w Rosji – spróbował jeszcze raz Russell.

I tym razem nie osiągnął niczego. Potem zastanawiał się nawet, dlaczego ojciec żywi do niego taką niechęć, że nie chce dać mu szansy podobnej do tych, z jakich korzystali jego rówieśnicy, przyszli dziedzice arystokratycznych tytułów. Czy to, co stało się przed trzynastoma laty, miało przekreślić go jako poważnego człowieka? Z pewnością nie, ale ta niepokojąca myśl wciąż go dręczyła.

Zamiast robić karierę w parlamencie, znalazł się więc w Markham Hall i miał dla dogodzenia ojcu,